

# Ruski spinning

Autor: Jacek Józwiak

Nie będzie o niczym topornym, nie będzie prześmiewek i dowartościowania polskiej rzeczywistości. Będzie o znajomości wody i rybich obyczajów, o moich przyjaciółach z Mińska, Homla i Mohylewa, a także o rzekach pięknych jak białoruska dusza.

Kiedy skończyła się imperialna ambicja, by wszystko robić, co robione jest na świecie, by kopiować każdą technologię, na polski rynek z państw powstałych na terenach byłego ZSRR napływać zaczęły wędziska i kołowrotki produkowane na Dalekim Wschodzie. I tak, jak przed laty pierwszą teleskopówką dla większości naszych wędkarzy był ruski bacik ze szklanego włókna, tak dziś dla wielu pierwszym trzyłożyskowcem czy pierwszą węglówką jest sprzęt przywożony przez Rosjan, Białorusinów, Ukraińców lub Bałtów.

Pierwszymi wędkarzami, którzy do piwnic odłożyli socjalistyczne produkty byli właśnie nasi wschodni sąsiedzi. Na giełdach i w sklepach wędkarskich nastał szal nowoczesności. Tej nowej, świeżej, zachłystującej się. I koniecznie jak najtańszej.

Na początku mało kto zawracał sobie głowę nazwą firmy, potem, gdy do świadomości i na sklepowe półki trafiać zaczęły terminy z katalogów, nastał raj dla wszelkiego rodzaju oszustów. Na "ruskim" rynku pojawiła się niesamowita ilość podróbek.

Za grosze - "ruskie", oczywiście - można było stać się posiadaczem Daiwy, Silstara, Mitchella, Shimano, D.A.M-a czy Cormorana. Całe fabryki w Tajlandii, Malezji, Korei Południowej i na Tajawanie przestawiły profile swoich malarni i standardowe wędziska pokrywały powłoką przypominającą wyroby światowych potentatów.

Czasami jeszcze na miejscu, częściej już na terenach "poradzieckich" sprzęt ten ulegał "firmowaniu" - naklejano nazwy, namalowywano je czy tamponowano. W ten sposób tysiące wędkarzy zza naszej wschodniej granicy stało się posiadaczami "klasowego" sprzętu.

Sprzęt ten przywędrował i do Polski - za niewielkie kwoty można było na bazarkach i "barachołkach" kupić daiwowski kijaszek, planowskie pudełko czy shakespearowski woblerek. Rzecz przypominała nasze rodzime zachwyty z lat sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych, gdy na rozmaitych "ciuchach" i "rózyczakach" kupowało się džinsy wyprodukowane w "Odrze", ale za to opatrzone wranglerowską naszywką.

Nie tylko jednak "przefirmowywanie" zmieniło w ostatnich latach obraz "ruskiego" wędkarstwa. Uaktywnieni handlowcy odkryli dla Europy całą masę mało znanych firm i firemek z dalekiej Azji. Wprowadziły je do świadomości wędkarzy z krajów Europy Wschodniej i Środkowej. Rezultatem była wędkarska rewolucja - nad wodami za Bugiem pojawili się wędkarze wyglądający tak samo jak na Zachodzie. Na margines zaczęły odchodzić - szczególnie w spinningu - katuszki, żyłki grube niczym okrętowe liny i kije, którymi trenować mógł Siergiej Bubka. Węglowe, kompozytowe czy nawet fibreglassowe wędziska, kołowrotki o nieruchomej szpuli, kamizelki, wodery spowodowały, że nad Dnieprem, Prypecią, Wołgą pojawili się wędkarze na pozór nie różniący się niczym od swoich kolegów z Zachodu.       Inne spojrzenie

Tymczasem różnica pomiędzy polskim a na przykład białoruskim wędkarzem jest ogromna. Bardzo często nie znający wschodnich realiów wędkarze, przyglądając się dozwolonym technikom połowu, a także regulaminom amatorskiego połowu ryb, zarzucają kolegom ze Wschodu mięsiarstwo. Nikt nie zaprzecza, że łowcom ryb znad Prypeci czy Dniepru bardzo zależy na złowieniu i zabraniu ze sobą wędkarskiej zdobyczy. Ryby w diecie Rusinów od lat są istotną pozycją. Płoteczki, karaski, okonki były i są nadal daniem, które nie obciąża mocno zubożonych kieszeni. Na spożywczych bazarkach od stuleci zawsze można było kupić suszone rybki. To one pomagały zabić głód w podróży, na wycieczce, ba, w służbowej delegacji nawet. Pamiętam, jak bardzo zaskoczony zostałem przed kilkunastu laty podczas odwiedzin redakcji młodzieżowego pisma w Mińsku - otóż podczas wyjazdu do sąsiedniej republiki świetnie ubrany, kulturalny redaktor naczelny z eleganckiego sakwojaża wyjął chleb i płócienny woreczek z suszonymi rybkami i zaczął je z apetytem zajadać, plując ośmi przez okno czarnej czajki.

Dziś Innokentij tego już nie robi, jest cenionym biznesmenem i zajada się solonymi orzeszkami oraz

chipsami. Ale na przykład inny dziennikarz, Walera, za nic w świecie nie potrafiłby z rybek zrezygnować. Kiedy był korespondentem w Polsce, zawzięcie łowił w Kanale Żerańskim niemiarkowe leszczyki i suszył je na balkonie wynajętego mieszkania.

Nam, Polakom, trudno dziś wyobrazić sobie, jak wielka jest różnica w reformujących się państwach postradzieckich pomiędzy zarobkami przeciętnego człowieka, a cenami w sklepach i na targowiskach. Mąż-wędkarz dla wielu Białorusinek, Ukrainek czy Rosjanek bywa więc skarbem prawdziwym, zaś ryby poławiane na wędkę w wielu przypadkach znacznie wspomagają budżety domowe. Chociaż pisma specjalistyczne propagują zachodnie wzorce wędkowania, choć sporo pisze się o zasadzie no kill, o przyjemności łowienia, o kontakcie z naturą, nie zmienia to jednak faktu, że "ruskie" wędkarstwo należy do hobby pożytecznych, użytecznych, pomagających rodzinie.

Z moich wielokrotnych obserwacji wynika, że różnic między modelami wędkowania - naszym i ich - jest więcej. Koledzy ze Wschodu bardziej i głębiej - moim zdaniem - interesują się zarówno samymi wodami, jak i życiem stworzeń wody te zamieszkujących. Szczególnie moje pokolenie - mocno średnie - ma do rzek, jezior i ryb stosunek bardzo poważny. Zaczynali przecież ze sprzętem dość prymitywnym, powiedziałbym nawet, że brutalnym, więc koniecznością była doskonała znajomość rybich obyczajów oraz umiejętność "czytania" akwenów.

Pokolenie czterdziestolatków to teraz na Wschodzie elita wędkarska. Zmieniłi sprzęt, świetnie opanowali nowoczesne techniki połowowe, ale przecież wiedza pozostała. Przynęta pod nos

Swoją skutecznością zadziwili mnie łowcy sumów znad Dniepru i sandacze znad Prypeci. Kilka lat temu dość często zapraszaliśmy się do siebie. Specjalnie na ryby. Wiele słyszałem o dneprzańskich sumach, o ich liczbie, wielkości, sile. Czytałem też o urządzeniach zwanych kwokiem, które naśladowały odgłosy żerowania wąchal i wabiły z dużych odległości te ogromne ryby.

I oto wreszcie Dmytro i Semen z Kijowa zaprosili mnie nad Dniepr. Semen wyjechał po mnie na dworzec, natomiast Dmytro wraz z przyjaciółmi siedzieli na rzeką od kilku dni i szukali najlepszego stanowiska dla gościa, łowiąc przy tym, ile wlezie.

Znaleźliśmy ich po kilkugodzinnej podróży mitsubishi. Tuż przed wieczorem. Siedzieli na zewnętrznym łuku ogromnej rzeki, krzatali się po obozowisku i grzali uchę. Niewyobrażalnie pyszną zupę z suma. Zawieszistą, gęstą, tłustą jak wołowy bulion, pełną kwadratowych kostek rybiego mięcha i maleńkich tegorocznych kartofelków.

Na potężnym sznurze iagrafcie z pięciomilimetrowego pręta pływał w zatoczce ze trzydziestokilowy wąchal. Podobno puścili kilka mniejszych.

- Na co biorą?- Spytałem podekscytowany. Ukraińcy spojrzeli po sobie zdezorientowani. - No, na spinn - odpowiedział któryś. - Ale na jaką przynętę? - Warknąłem poirytowany i zwątpiłem w ich wędkarski fach. - Na usie bliesny, na humyje rybki i na twystry. Na usio bierut.

Dopiero po kilku dniach wytłumaczyliśmy sobie, o co chodzi. O inne spojrzenie, mianowicie. Ja, zafascynowany od lat sprzętem - od kija, przez kołowrotek, po przynętę - zwykłem pytać spotkanych nad wodą kolegów, którzy złowili rybę, o przynętę, na jaką zdobycz się pokusiła. Moja wiara w cudowny wabik nie miała granic - jeśli ktoś łowił szczupaki na wirówki, to i ja wirówkę zakładałem na koniec mojego zestawu. Proste pytanie, prosta odpowiedź, prosta recepta.

Tymczasem tutaj - jeśli, oczywiście. ktoś miał ochotę zdradzać swe sekrety - rozmowa o złowionej rybie trwała długo, nie ograniczała się do przynęty.

- Gdzie wziął, na jakiej głębokości, na jakim nurcie, znad jakiego dna, kiedy, jak mocno, co było w górze a co w dole rzeki, czy widać drobnicę, czy widać żerowania drapieznika, czy rzeka poprzemosiła przykosa, jak szybko prowadzona była przynęta, czy pobicie nastąpiło na początku drogi, w środku, pod koniec...

I dopiero teraz, po kilkunastominutowej pogwarce następuje kolej na oglądanie i pytania dotyczące przynęty. I znów nikt nie zadowolony się lakoniczną odpowiedzią - trzeba wszak spytać o pracę wabika, o odbłaski, jakie rozsiewa, o odgłosy, jakie emituje...

- Nie o rzeczy pytaj, a o stworzenie - radzili ukraińscy wędkarze. - Nie błyska ważna, a to, by rybie ją

pod nos rzucić. Więc o rybę pytaj: jak dziś chodzi, czy aktywna, gdzie siedzi, czy może wędruje... Co ryba robi?

Gdybym trzymał się ukraińskiej obrzędowości wędkarskiej i zadał szereg pytań wytłuszczonych wyżej, byłbym o wiele bardziej mądry, niż po odpowiedzi, że sumy biorą na wszystko. Dowiedziałbym się, że trzydziestak uderzył na końcu rzeczno zakrętu, w miejscu, gdzie nurt gwałtownie przyśpiesza, by po chwili rozlać się spowolnieniem. Nie jest tam specjalnie głęboko, wszystkiego może dwa i pół metra, dno twarde, piaszczyste z tkwiącymi tu i ówdzie dużymi głazami. Uderzył późnym wieczorem, może raczej wczesną nocą, bardzo mocno, tuż po opadnięciu przynęty na wodę, spod wierzchu.

Informacje te prowadzą do prostych wniosków, że sumy zachowują się typowo. Z wieczora opuszczają swoje ostoje i wędrują po skrajach - tak płycizn, jak i spowolnień czy przyśpieszeń nurtowych - w poszukiwaniu dużych zgromadzeń wierzchówek. Ciekawi je każdy odgłos, każde chłapięcie, każdy ruch. Reagują błyskawicznie na każdy cień widoczny na tle zawsze jaśniejszego nieba.

Sum, który "pływał" w usze, uderzył natomiast w przynętę prowadzoną przy samym dnie, bardzo powoli. Skubnął ją przedtem raz i drugi - jak to sum w ostoi, za dnia, w skwarne południe.

Siedział w głębooczce za zerwaną główką, gdzie rzeka naniosiła karpin i zwalonych pniaków. Trzeba było prowadzić przynętę - w tym wypadku ogromnego rippera - po skraju zwałowiska, od napływowej strony...

I ten sum tedy zachowywał się normalnie. Normy i odchyłki

Każdy z moich przyjaciół ze Wschodu tak właśnie patrzy na rzeki i ryby. Każdy z nich ustalił sobie pewną normę zachowań dla każdego poławianego gatunku. Przez lata rozbudowywał swą znajomość rybich obyczajów i ustalał normy dla rozmaitej pogody, dla odmiennych stanów rzeki, dla pór roku, miesięcy, całej masy okoliczności, których większość tzw. zachodnich spinningistów w ogóle nie zauważa, a nawet jeśli je dostrzeżę, to nie zaprzęta sobie nimi głowy.

Według ustalonych norm szuka się ryb w wodzie. W środku lata sumy na przykład powinny brać w miejscach, w których wzięły te dnierzańskie. Ale na przykład, gdyby w wyjątkowo upalną pogodę - co zdarza się dość często - sumy wyszły ze swoich ostoi i pokazały się wielkim bełtem na wierzchu, to natychmiast z zestawów zniknęłyby ciężkie wahadłówki, mocno obciążone gumki i na wodę poleciałyby płytko chodzące, pękate woblerki lub wąskie, wytłoczone z cienkiej blachy wahadłoweczki czy obrotówki o bardzo szerokim, wynoszącym do wierzchu skrzydełkiem.

Gdyby jakaś przyrodnicza okoliczność z wieczora zatrzymała wachale w ostojach, to Ukraińcy łowiliby na "południowe" zestawy - ciężko i głęboko...

Fascynowało mnie zawsze chodzenie na ryby z Walerą z Mińska. Kilkakrotnie bywaliśmy nad Prypecią, gdzie nastawialiśmy się na sandacze. Walera zawsze po przyjeździe nad wodę, zanim jeszcze zabrał się do rozsznurowywania pokrowca na wędziska, siadał sobie na jakiejś górcie i - jak zwykł mawiać - zaprzyjaźniał się z dzisiejszą rzeką. Mogła być bowiem, i najczęściej bywała, zupełnie inna od tej wczorajszej. Nawet jeśli stan się nie zmienił, to przecież gdzie indziej mogła iść drobnica, gdzie indziej mógł przyczaić się drapieжник. Mogła być wreszcie jakaś odchyłka od normy - na przykład sandacze mogły w środku dnia wyjść z opaski i buszować po płyciznach, co dość szybko dawało się wypatrzyć, pod warunkiem, że na obserwację poświęciło się nieco czasu i koncentracji.

Zapewne większość Czytelników spodziewała się wykładu o sprzęcie, na jaki łowią dziś wędkarze zza Buga. Tymczasem ruski spinning już od dawna nie kojarzy mi się z przedmiotami, ale z podejściem do wody, do ryby, do wędkowania w ogóle. Od kilku lat - bodaj od dnierzańskiej wyprawy - stałem się zaprzyjętym fanem ruskiego spinningu. Pracowicie ustalałem sobie normy i odchyłki dla każdej ściganej przeze mnie ryby, zmuszałem się podczas spinningowania do długich przerw i starannej obserwacji wody.

Po kilku żmudnych latach można wręcz powiedzieć, że oto ja, wyposażony w dobre wędziska, doskonałe kołowrotki, obuty w neopreny, odziany w kamizelki i gore-texy, z okularami polaryzacyjnymi na nosie i oczołomami w pudełku - uprawiam ruski spinning. I dumny z tego jestem.